Laura Bellini



W tę stronę po bliskość

Wspólna droga zaczyna się
od uczciwego wyboru

W tę stronę po bliskość

Wspólna droga zaczyna się od uczciwego wyboru

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384902677

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Dwie wersje tej samej drogi 12
Rozdział 2 - Granice, które sami wyznaczamy 22
Rozdział 3 - Tam, gdzie kończy się mapa 33
Rozdział 4 - To, czego nie ma w planach 43
Rozdział 5 - Prawo do powiedzenia nie 54
Rozdział 6 - Odległość jednego pocałunku 64
Rozdział 7 - Między pragnieniem a zaufaniem 75
Rozdział 8 - Po drugiej stronie codzienności 86
Rozdział 9 - Cena wspólnej decyzji 97
Rozdział 10 - Kiedy wybieramy siebie 106
Rozdział 11 - Miejsce na drugą osobę 117
Rozdział 12 - Informacje, które zmieniają wszystko 127
Rozdział 13 - Granica kompromisu 136
Rozdział 14 - Prawda wypowiedziana tylko do połowy 147
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedział 159
Rozdział 16 - Odległość potrzebna do prawdy 170
Rozdział 17 - To, co zostaje, kiedy odchodzimy 179
Rozdział 18 - Decyzja bez gwarancji 188
Rozdział 19 - Uczciwa cena zwycięstwa 197
Rozdział 20 - W tę stronę po bliskość 206

INTRO

Pierwszy raz zobaczyłam Wita Górnego w chwili, kiedy ktoś przesunął mój projekt o trzydzieści centymetrów.

Nie było w tym nic romantycznego. Stałam po kostki w mokrej trawie nad Odrą, z teczką przyciśniętą do piersi i telefonem, który od dziesięciu minut bezskutecznie próbował złapać zasięg. Listopadowy wiatr przewracał kartki przypięte do prowizorycznej tablicy informacyjnej, a dwóch robotników dyskutowało o tym, czy betonowy fundament po dawnym koszu na śmieci nadaje się jeszcze do czegokolwiek.

Trzydzieści centymetrów oznaczało jednak więcej, niż mogłoby się wydawać. W moim projekcie właśnie tyle dzieliło bezpieczny przejazd rowerem od kolizji z korzeniami starej lipy. Po dwóch miesiącach pomiarów, konsultacji i poprawiania rysunków wiedziałam dokładnie, dlaczego linia przebiegała tam, gdzie ją wyznaczyłam.

Dlatego, kiedy zobaczyłam wbity w ziemię czerwony palik z numerem siedemnaście, poczułam złość.

— Kto to przestawił? — zapytałam.

Robotnik w pomarańczowej kurtce spojrzał na mnie znad kubka kawy.

— Ten od ścieżek.

— Który od ścieżek?

— Wysoki. W granatowej kurtce. Mówił, że tak będzie lepiej.

Nie znałam jeszcze człowieka, który uważał, że może poprawiać cudzą pracę bez jednego telefonu, ale natychmiast przestałam go lubić.

Miałam trzydzieści pięć lat, własną pracownię urbanistyczną i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że słowa "tak będzie lepiej" najczęściej wypowiadali ludzie, którzy nie musieli później odpowiadać za konsekwencje. Przez ostatnie siedem lat zbudowałam firmę na czymś dokładnie przeciwnym: na pomiarach, jawnych decyzjach i podpisywaniu się pod każdym rozwiązaniem, również tym niewygodnym.

Przebudowa opolskiego bulwaru miała być projektem, dzięki któremu moja niewielka pracownia wreszcie przestałaby żyć od zlecenia do zlecenia. Nie chodziło wyłącznie o pieniądze. Chciałam stworzyć miejsce, w którym starsza kobieta z zakupami, dziecko na rowerze i człowiek poruszający się na wózku nie będą musieli rywalizować o ten sam metr chodnika.

Wyjęłam z teczki plan i uklękłam przy paliku.

— Nie radziłabym tego robić.

Głos dobiegł zza moich pleców. Niski, spokojny, z tą irytującą pewnością kogoś, kto nie musi podnosić tonu, żeby zostać usłyszanym.

Odwróciłam głowę.

Mężczyzna miał około czterdziestki, ciemne włosy przyprószone siwizną przy skroniach i granatową kurtkę rozpiętą mimo zimna. Trzymał zwinięte rysunki i papierowy kubek. Nie wyglądał na człowieka, który właśnie zrujnował komuś poranek. Wyglądał na kogoś, kto doskonale wiedział, dlaczego to zrobił.

— Nie radziłby pan czego? — zapytałam.

— Wyciągać palika. Pod spodem jest przewód, którego nie ma na aktualnej mapie.

Spojrzałam na ziemię, potem na niego.

— A pan skąd o nim wie?

— Z dokumentacji technicznej.

— W dokumentacji, którą otrzymali uczestnicy konkursu, nie było takiego przewodu.

Przez moment patrzył na mnie uważniej. Nie uciekł wzrokiem, ale też nie odpowiedział od razu.

— Być może dokumentacja jest niekompletna.

— To dość poważny problem.

— Zgadzam się.

Ta łatwa zgoda zirytowała mnie bardziej niż sprzeciw.

Podniosłam się, otrzepując kolano. Był ode mnie wyższy o dobre kilkanaście centymetrów, jednak nie zrobił tego częstego męskiego manewru, polegającego na podejściu o krok za blisko. Stał tam, gdzie stanął, i czekał.

— Rita Gawron — przedstawiłam się. — Autorka wariantu B.

— Wit Górny. Wariant C.

Oczywiście.

Wiedziałam o nim całkiem sporo, chociaż dotąd się nie spotkaliśmy. Projektował ciągi pieszo-rowerowe w kilku miastach, miał opinię człowieka skutecznego, a jego koncepcja opolskiego bulwaru stanowiła najpoważniejszą konkurencję dla mojej. On stawiał na płynność ruchu i atrakcyjność tras. Ja na dostępność, przestrzenie odpoczynku i równowagę między użytkownikami.

— Czyli to pan przesunął mój przebieg ścieżki.

— Zaznaczyłem alternatywny przebieg. Nie zmieniłem pani projektu.

— Palik stoi dokładnie na mojej osi pomiarowej.

— Ponieważ chciałem pokazać różnicę.

— Można było użyć innego koloru.

Spojrzał na czerwony plastik, a potem na mnie.

— To akurat uczciwa uwaga.

Miał niebezpieczny sposób przyjmowania krytyki. Nie bronił się odruchowo, nie próbował wygrać każdej wymiany zdań. Przez to trudniej było się na niego gniewać, co uznałam za kolejną jego wadę.

Wiatr wyrwał mi z teczki luźną kartkę. Wit złapał ją, zanim spadła do rzeki. Zrobił to bez efektownego rzucania się na ratunek, po prostu wyciągnął rękę w odpowiednim momencie.

— Przekrój poprzeczny? — zapytał, podając mi arkusz.

— Tak.

— Ładnie pani rozwiązała zejście do wody.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie.

— To komplement czy wstęp do kolejnej poprawki?

— Komplement. Zdarza mi się.

Na jego twarzy pojawił się krótki uśmiech. Nie był szczególnie szeroki, ale zmienił mu wyraz oczu. Dopiero wtedy zauważyłam, że miały szarozielony kolor i drobne zmarszczki świadczące o tym, że uśmiechał się częściej, niż sugerował jego rzeczowy ton.

Odwróciłam wzrok pierwsza.

Nie dlatego, że się speszyłam. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłam.

— Chciałabym zobaczyć tę dokumentację — powiedziałam.

— Rozumiem.

— Nie pytam, czy pan rozumie. Pytam, czy może mi ją pan udostępnić.

Tym razem uśmiech zniknął.

— Muszę sprawdzić, na jakich zasadach została przekazana.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę.

— Czyli ktoś przekazał panu materiały, których nie dostali pozostali projektanci?

— Powiedziałem, że muszę sprawdzić ich status.

— To nie jest odpowiedź.

— Nie. Jeszcze nie.

W jego głosie nie było wyższości. Raczej ostrożność, która zupełnie nie pasowała do swobody, z jaką kilka minut wcześniej ustawiał swoje znaczniki na moim terenie.

Zanim zdążyłam nacisnąć mocniej, zadzwonił mój telefon.

Na ekranie pojawiło się nazwisko urzędniczki prowadzącej konkurs.

— Pani Rito, dobrze, że panią złapałam. Nastąpiła zmiana organizacyjna. W przyszłym tygodniu odbędzie się spotkanie z mieszkańcami. Komisja zdecydowała, że autorzy dwóch najlepiej ocenionych koncepcji przygotują wspólną prezentację możliwych rozwiązań.

Spojrzałam na Wita.

— Wspólną?

— Tak. Chodzi o pokazanie punktów zbieżnych i różnic. Bez przesądzania wyniku konkursu. Państwo Gawron i Górny.

Wit najwyraźniej usłyszał swoje nazwisko, bo uniósł brwi.

— Rozumiem — odpowiedziałam ostrożnie.

— Dokumenty prześlemy dzisiaj. Liczę na profesjonalną współpracę.

Rozłączyłam się, zanim powiedziałam coś, czego mogłabym później żałować.

Przez chwilę słyszeliśmy tylko wodę uderzającą o kamienne umocnienie brzegu. Po drugiej stronie rzeki ktoś wyprowadzał psa, a nad naszymi głowami zaskrzeczała mewa.

— Wygląda na to, że będziemy razem pracować — powiedział Wit.

— Wygląda na to, że będziemy razem występować. To zasadnicza różnica.

— Dla pani?

— Dla każdego, kto nie chce pomylić współpracy z rezygnacją z własnego zdania.

Przyjął to bez obrazy.

— W takim razie proponuję zacząć od ustalenia, czego żadne z nas nie zamierza poświęcić.

To było rozsądne. Tak rozsądne, że miałam ochotę mu odmówić wyłącznie z przekory.

Zamiast tego schowałam plan do teczki.

— Ja nie poświęcę przejrzystości konkursu.

Spojrzał na mnie dłużej niż wcześniej. Jego palce zacisnęły się na papierowym kubku, aż wieczko lekko się wygięło.

— A ja bezpieczeństwa ludzi, którzy będą z tego miejsca korzystać — odpowiedział.

— To akurat nie powinno nas dzielić.

— Nie powinno.

Przez moment miałam wrażenie, że zamierza powiedzieć coś jeszcze. Zamiast tego odsunął się, robiąc mi miejsce na wąskim, błotnistym przejściu.

Mogłam odejść. Powinnam była wrócić do biura, sprawdzić dokumenty, przygotować oficjalne pytanie do komisji. Miałam własną pracę, własne zobowiązania i żaden przystojny konkurent nie był mi potrzebny do szczęścia.

A jednak zostałam.

— Panie Górny?

Odwrócił się.

— Proszę mówić mi Wit.

— Jeszcze się nad tym zastanowię. Chciałam zapytać, czy ma pan dzisiaj chwilę, żeby pokazać mi ten przewód.

Uśmiechnął się znowu, tym razem wolniej.

— Mam nawet godzinę.

— Potrzebuję dwudziestu minut.

— Zobaczymy, czy wystarczą.

Ruszyliśmy wzdłuż rzeki, zachowując między sobą odległość wystarczającą dla dwojga obcych ludzi.

Nie rozumiałam jeszcze, dlaczego jego obecność tak skutecznie wytrącała mnie z wypracowanego spokoju.

Wiedziałam tylko, że chciałam poznać odpowiedź na pytanie o dokumentację równie mocno, jak chciałam usłyszeć, co powie, kiedy przestaniemy rozmawiać o ścieżkach.

Spojrzałam na jego profil i nagle pomyślałam coś znacznie mniej wygodnego.

Czy człowiek, któremu nie byłam pewna, czy mogę zaufać w sprawach zawodowych, mógł stać się kimś, kogo zapragnę dopuścić bliżej?

Rozdział 1 - Dwie wersje tej samej drogi

Następnego ranka na moim biurku leżały trzy wydruki, dwa kubki po kawie i jedno oficjalne pismo, które przeczytałam już cztery razy, za każdym razem z rosnącą irytacją.

Komisja konkursowa oczekiwała, że w ciągu sześciu dni przygotujemy z Witem Górnym wspólną prezentację dla mieszkańców Opola. Mieliśmy pokazać najważniejsze różnice między naszymi koncepcjami, wskazać możliwości ich połączenia i przedstawić propozycję, która mogłaby zostać skierowana do dalszych konsultacji. Jednocześnie konkurs pozostawał nierozstrzygnięty, a nasze projekty miały nadal podlegać niezależnej ocenie.

Brzmiało to rozsądnie, dopóki człowiek nie zastanowił się, kto właściwie będzie właścicielem pomysłów wypracowanych podczas współpracy.

— Patrzysz na to pismo, jakby miało ci oddać pieniądze — zauważyła Nina, moja współpracowniczka.

Nina miała dwadzieścia dziewięć lat, talent do wizualizacji przestrzennych i niemal nadprzyrodzoną zdolność rozpoznawania mojego nastroju po sposobie, w jaki odkładałam długopis.

— Chciałabym, żeby oddało mi sześć tygodni życia.

— Tyle zajęło ci przygotowanie projektu?

— Tyle zajęło mi przekonanie siebie, że wszystkie konkursowe zasady są jasne.

Nina przysiadła na parapecie. Za oknem naszego biura przy ulicy Krakowskiej ludzie spieszyli do pracy, chowając twarze w szalikach. Lubiłam ten widok. Przypominał mi, że

miasta nie buduje się dla efektownych wizualizacji, lecz dla tych wszystkich ludzi, którzy chcą zwyczajnie dotrzeć tam, dokąd zmierzają.

— A ten drugi projektant? — zapytała.

— Co z nim?

— Jest podobno dobry.

— Jest.

— To powiedziałaś tak, jakbyś właśnie przyznała się do przestępstwa.

Przesunęłam w jej stronę szkic, na którym zaznaczyłam problematyczny fragment instalacji podziemnej. Wczorajsze dwadzieścia minut z Witem zamieniło się w niemal godzinę. Pokazał mi miejsce, gdzie przebiegał przewód, wyjaśnił ryzyko związane z planowanym posadowieniem nawierzchni i przyznał, że moje rozwiązanie dla pieszych było lepsze od jego. Nie udostępnił jednak dokumentu, na który się powoływał.

— Właśnie dlatego jest kłopotliwy — odpowiedziałam. — Wie, co robi. A ja nie lubię konkurować z ludźmi, którzy wiedzą, co robią.

Nina roześmiała się, lecz ja szybko spoważniałam. Złożyłam formalny wniosek o udostępnienie wszystkim uczestnikom aktualnej dokumentacji technicznej. Nie zamierzałam oskarżać nikogo bez dowodów, ale nie mogłam udawać, że problem nie istnieje.

Telefon zawibrował.

Wiadomość od nieznanego numeru zawierała tylko kilka zdań.

"Dzień dobry, pani Rito. Wit Górny. Proponuję spotkanie o jedenastej w sali konsultacyjnej urzędu. Przyniosę założenia

do wspólnej prezentacji. Zakładam, że zdążyła już pani przygotować listę rzeczy, na które się nie zgadza".

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

— Co się stało? — zapytała Nina.

— Nic.

— Rita, właśnie uśmiechnęłaś się do telefonu.

— To reakcja obronna.

Odpisałam: "Lista jest długa. Proszę zarezerwować dwie godziny".

Odpowiedź przyszła natychmiast.

"W takim razie przyniosę kawę".

O jedenastej weszłam do niewielkiej sali na drugim piętrze urzędu. Wit już tam był. Stał przy oknie, rozmawiając przez telefon, ale kiedy mnie zobaczył, zakończył rozmowę i odłożył aparat ekranem do dołu. Na stole czekały dwa kubki kawy i kilka starannie ułożonych arkuszy.

— Punktualność — powiedział. — Dobrze wróży naszej współpracy.

— Nie wyciągałabym tak daleko idących wniosków.

— Słusznie. Kawa jest bez cukru. Jeśli pani słodzi, zaczniemy od konfliktu.

Zajęłam miejsce po przeciwnej stronie stołu.

— Nie słodzę.

— Pierwszy punkt wspólny.

Podał mi kubek, a ja zauważyłam, że jego dłonie były lekko zaczerwienione od zimna. Miał mocne, spracowane palce, niepasujące do stereotypowego projektanta, który większość życia spędza przed monitorem. Pomyślałam, że

zapewne częściej od innych wychodził w teren. Ta drobna obserwacja wydała mi się zaskakująco osobista.

— Zanim zaczniemy — powiedziałam — chciałabym ustalić jedną rzecz. Nie zgadzam się na prezentowanie mojego projektu jako części pańskiej koncepcji.

— Nie oczekiwałem tego.

— Ani na wykorzystywanie moich rozwiązań w dalszej części konkursu bez wskazania autorstwa.

— Rozumiem.

— I chcę, żeby każda istotna zmiana była zatwierdzana przez nas oboje.

Wit usiadł naprzeciwko mnie.

— A ja mam jeden warunek.

Zamknęłam teczkę.

— Słucham.

— Nie będziemy udawać przed mieszkańcami, że wszystko jest możliwe, jeśli oboje wiemy, że nie jest.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy mnie prowokuje.

— Proszę rozwinąć.

— Pani projekt jest ambitny. Mój również. Ale jeśli połączymy wyłącznie najatrakcyjniejsze elementy obu koncepcji, otrzymamy coś, czego nie da się zbudować w przewidzianym budżecie. Ludzie zobaczą piękne obrazki, a za pół roku ktoś będzie musiał im wyjaśniać, dlaczego połowa obietnic zniknęła.

— Nie proponuję składania obietnic bez pokrycia.

— Wiem. Dlatego proponuję wspólny wariant konsultacyjny, który pokaże rzeczywiste wybory. Jeśli przesuniemy ścieżkę, być może stracimy część zieleni. Jeśli

ją zwężimy, pogorszymy komfort jazdy. Nie zamieniajmy tych decyzji w marketing.

Patrzyłam na niego przez kilka sekund.

Był to pierwszy moment, w którym naprawdę zrozumiałam, dlaczego jego projekt zdobył tak wysoką ocenę. Nie chodziło o odważne wizualizacje ani modne materiały. Wit myślał o przestrzeni jak o serii konsekwencji, za które ktoś musi wziąć odpowiedzialność.

— Zgadzam się z zasadą — powiedziałam. — Pod warunkiem, że dane będą dostępne dla obojga.

Nie musiałam wyjaśniać, do czego nawiązuję.

Wit odstawił kubek.

— Wysłałem zapytanie dotyczące dokumentacji technicznej.

— Do urzędu?

— Tak.

— Kiedy otrzymamy odpowiedź?

— Mam nadzieję, że przed spotkaniem z mieszkańcami.

— Nadzieja nie jest metodą projektową.

— To dobrze, bo nie wpisałem jej do harmonogramu.

Miałam ochotę odpowiedzieć czymś równie uszczypliwym, lecz zamiast tego otworzyłam teczkę. Wiedziałam, że jeśli pozwolę mu nadawać rozmowie lekki ton, za chwilę zapomnę, po co właściwie przyszłam.

Przez następną godzinę porównywaliśmy oba projekty. Mój przewidywał szersze strefy odpoczynku, łagodne zejścia i niewielkie miejsca spotkań. Jego prowadził rowerzystów bardziej płynnym przebiegiem i lepiej rozwiązywał połączenia z istniejącymi trasami. W kilku

punktach różnice były niewielkie, w innych niemal niemożliwe do pogodzenia.

Kiedy doszliśmy do fragmentu przy starych drzewach, Wit przesunął swój rysunek bliżej mojego.

— Tutaj możemy wykorzystać pani rozwiązanie.

— Możemy?

— Możemy przedstawić je jako lepsze.

Uniosłam wzrok.

— Nawet jeśli oznacza to rezygnację z pańskiego?

— Jeśli jest lepsze, tak.

— Zaskakuje mnie pan.

— To chyba dobrze.

— Jeszcze nie zdecydowałam.

Pochylił się nad planem, wskazując miejsce połączenia dwóch tras. Zapach jego wody kolońskiej, subtelny i drzewny, mieszał się z aromatem kawy. Odległość między nami zmalała, ponieważ oboje próbowaliśmy dostrzec ten sam szczegół. Nie dotknął mnie, choć wystarczyłby niewielki ruch.

— Tutaj natomiast — powiedział — pani koncepcja wymaga korekty.

Odsunęłam się o kilka centymetrów, bardziej dla odzyskania koncentracji niż z rzeczywistej potrzeby.

— Dlaczego?

Wyjaśnił problem z nachyleniem nawierzchni i odwodnieniem. Początkowo chciałam zaprotestować, jednak po chwili zobaczyłam, że ma rację. Nie było to przyjemne odkrycie.

— Dobrze — przyznałam. — Sprawdzę ten fragment.

— Nie musi pani mówić tego takim tonem.

— Jakim?

— Jakby właśnie podpisywała pani akt kapitulacji.

Spojrzałam na niego znad okularów.

— Proszę nie przyzwyczajać się do zwycięstw.

Uśmiechnął się.

— Nie zamierzam.

W połowie spotkania do sali zajrzała urzędniczka prowadząca konkurs, Katarzyna Domańska. Miała zmęczoną twarz osoby, która od rana odpowiadała na pytania, na które nie znała jeszcze odpowiedzi.

— Widzę, że państwo pracują. Świetnie. Mam tylko prośbę, żeby nie prezentować żadnego rozwiązania jako ostatecznego. Komisja będzie oceniać projekty zgodnie z pierwotnymi kryteriami.

— Chcielibyśmy również ustalić zasady korzystania z materiałów technicznych — powiedziałam.

Domańska spojrzała na Wita, a potem na mnie.

— Odpowiedź na pani wniosek zostanie przygotowana.

— Czy mogę otrzymać konkretny termin?

— Najpóźniej w poniedziałek.

Zapisałam tę informację.

— Dziękuję.

Po jej wyjściu Wit przez moment patrzył na zamknięte drzwi.

— Jest pani konsekwentna — zauważył.

— To łagodniejsze określenie niż te, które zwykle słyszę.

— A jakie pani słyszy?

— Trudna. Uparta. Nieelastyczna.

— Nieelastyczność bywa problemem u projektanta ścieżek.

— A nadmierna elastyczność u człowieka, który odpowiada za bezpieczeństwo.

Roześmiał się cicho. Był to pierwszy śmiech, który usłyszałam z jego ust, nie tylko uśmiech. Spodobał mi się bardziej, niż chciałam przyznać.

Pod koniec spotkania mieliśmy gotowy podział obowiązków. Ja przygotowywałam część dotyczącą dostępności i przestrzeni społecznych, on odpowiadał za układ komunikacyjny oraz analizę techniczną. Wspólnie mieliśmy opracować trzy warianty spornego odcinka bulwaru. Każdy miał zachować autorstwo swoich rozwiązań, a wszystkie materiały miały trafiać do wspólnego folderu.

Kiedy pakowałam dokumenty, Wit zatrzymał mnie jednym pytaniem.

— Pani Rito, dlaczego tak bardzo zależy pani na tym konkursie?

Odpowiedź była oczywista, a jednak nie miałam ochoty jej wypowiedzieć.

— To ważne zlecenie.

— Wiem. Pytam o coś innego.

Zapięłam teczkę.

— A pan dlaczego chce je wygrać?

Nie odpowiedział od razu.

— Bo chciałbym wreszcie zobaczyć trasę, którą zaprojektowałem, i wiedzieć, że nie będę się jej wstydził za dziesięć lat.

Nie spodziewałam się tego rodzaju szczerości.

— To dość wysokie wymagania.

— Wiem. Dlatego czasem przegrywam.

W jego głosie pojawiła się nuta, której wcześniej nie słyszałam. Nie był to żal, raczej doświadczenie człowieka, który znał cenę własnych decyzji.

Przez chwilę rozważałam, czy powiedzieć mu prawdę o swojej pracowni, o kredycie i o tym, że sukces w konkursie dałby mi możliwość zatrudnienia kolejnej osoby. Zamiast tego poprawiłam pasek torby na ramieniu.

— Ja chcę, żeby ludzie mogli korzystać z bulwaru bez konieczności dopasowywania się do błędów projektanta.

Wit skinął głową.

— To dobry powód.

Wyszliśmy razem na korytarz. Przy schodach zatrzymał się, pozwalając przejść grupie interesantów. Dopiero kiedy korytarz opustoszał, odezwał się ponownie.

— W piątek chciałbym sprawdzić jeden fragment trasy w terenie. Jeśli będzie pani miała czas, przydałaby mi się pani opinia.

— W piątek mam spotkanie z klientem.

— W takim razie znajdziemy inny termin.

Nie naciskał. Ta prostota zaskoczyła mnie bardziej niż zaproszenie.

— Mogę w sobotę rano — powiedziałam.

Spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

— Pracuje pani w soboty?

— Kiedy trzeba.

— A kiedy nie trzeba?

Zatrzymałam się na schodach.

— Wtedy staram się pamiętać, że istnieje życie poza projektami.

— Skutecznie?

Pokręciłam głową.

— Niezbyt.

Nie skomentował tego. Przez moment miałam wrażenie, że chciałby zapytać o coś więcej, lecz uszanował granicę, której nawet nie musiałam wyznaczać.

Przed budynkiem pożegnaliśmy się krótkim uściskiem dłoni.

— Do soboty, pani Rito.

— Do soboty, panie Górny.

Kiedy odchodził, zauważyłam, że nie obejrzał się za siebie. To powinno mnie ucieszyć. Zamiast tego poczułam absurdalne rozczarowanie, które natychmiast uznałam za przejaw zmęczenia.

Wróciłam do biura z kompletem ustaleń, poprawkami do projektu i pewnością, że współpraca z Witem Górnym będzie trudniejsza, niż przewidywałam.

Nie dlatego, że był moim konkurentem.

Dlatego, że coraz trudniej przychodziło mi traktowanie go wyłącznie w ten sposób.

Rozdział 2 - Granice, które sami wyznaczamy

W sobotę rano obudziłam się piętnaście minut przed budzikiem i przez chwilę leżałam nieruchomo, patrząc na jasny pas światła przesuwający się po suficie.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio zgodziłam się na zawodowe spotkanie w weekend bez poczucia, że ktoś odebrał mi część wolności. Tym razem to ja zaproponowałam termin. Mimo to potrzebowałam kilku minut, żeby przekonać samą siebie, że chodzi wyłącznie o pracę.

Mój telefon leżał na nocnym stoliku. Sprawdziłam wiadomości.

Wit napisał poprzedniego wieczoru: "Dziewiąta przy moście. Proszę zabrać wygodne buty. Nie zamierzam ograniczać naszej dyskusji do asfaltu".

Odpisałam wtedy: "Nie zamierzam ograniczać moich uwag do pana pomysłów".

Teraz, czytając tę wymianę, uśmiechnęłam się do siebie.

Nie podobało mi się, że zaczynałam czekać na jego odpowiedzi.

Przez ostatnie trzy lata starannie oddzielałam pracę od życia prywatnego. Po rozstaniu z Michałem, z którym spędziłam niemal dekadę, obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę dopasowywać własnych ambicji do cudzego poczucia bezpieczeństwa. Michał nie był złym człowiekiem. Po prostu nie potrafił zaakceptować, że moja praca może być dla mnie równie ważna jak wspólne plany. Początkowo